

Ż O N A I P I S T O L E T

=====
wg. reportażu Andrzeja Mularczyka

I: - Owszem, tak, ja o tym pistolecie wiedziałam już dwadzieścia dwa lata temu. Futerał jest uszyty z mojej starej torebki.

- Owszem, tak. Wiedziałam, że to jest przestępstwo, ale on mi był potrzebny do spokojnego życia. Bo tylko on był gwarancją dla mego męża przed innymi ludźmi.

- Owszem mogę się z tym wytłumaczyć, ale to trzeba objąć kawał czasu: my zamieszkani byli we Wilnie na kolejarskim osiedlu i na ten czas ukrywał się przy nas ruski żołnierz, co przez rany nie dał rany przed Niemcem ujść. On już był dobrze podleczoney, jak świtem przyszli po niego "szaulisy" i razem z nim wzięli mojego męża, Wiktora. Jak jego zrazu pobiwszy, prowadzili, to dojrzał sąsiada naszego, telegrafistę kolejowego, Antoniego G. Choć ledwie do świtu szło, ubrany już całkiem wyszedł się przyglądać uprowadzeniu. Stał i cieszył się. I mąż mój wtenczas podjął podejrzliwość do niego, że to on nadał do litewskiej policji przy Niemcach o tym ruskim człłgiście. Czy to był fakt, tego ja nie twierdzę, bo człowiek ten bronić się nie może, śmierć go broni, w rok po wolności a umarł na serce już tu, na Ziemiach Odzyskanych. Jedno jest pewne, że jak ja na ewangelicki kościół poszłam, żeby móc z moim obecnym mężem ślub wziąć, bo z pierwszym się unieważniłam, to ten G. tłukł w nasze okiennice kamieniami, wyzywał, ludzi na nas buntował, tak że w sklepiku u Olen=dra wszysey mieli kredyt, tylko nie my...

- Owszem, nie mam pewności co do tej zdrady, żeby to G., ale mąż inne

ma myśli, bo co innego przeszedł: bili go, katowali na tym posterunku, co był na całe okolice najstraszniejszy. Po starym magazynie był to budynek, między widłami torów, na plecach starej parowozowni. Dwóch tam było Niemców, reszta "szaulisy", a koło nich wciąż wrony krążyły. Do kogo strzelali - tego nie zasypywali. Jak wiatr zawiął od tego wykrotowiska między torami, to dzieci na kilometr stamtąd jeść przestawały. A oni spirytusem się desynfekowali, a jak akurat nie mieli ludzi, żeby do nich strzelać, to polowali na te wrony, co do trupów się zlatywały. Jak padł strzał, to niebo aż czerniało od ptaków. Ale daleko one nie poszły, tyle co na te drzewa za torami - i znów na żer wracały. Kto tam popadł - nigdy nie wyszedł. Ciała też nie dawali ruszać i przyglądali się im przez lornetki, bo to było do dwieście kroków od tego posterunku.

- Ruskiego zabili po drodze, męża tam zaprowadzili. Poszłam pod te tory. Jak ja dla niego pierwszego męża rzuciłam, wiarę zmieniłam, to z życiem i złotem nie zaryzykuję? Słyszałam, że te "szaulisy" palce urzynają dla złotej obrączki. Pierwszy mąż był grawerem, za domek, który mu zostawiłam, miałam od niego nawet dość ciężkawe pudłko. Znajomy kolejarz starszego od tych "czarnych" z posterunku wywołał, ja mu mówię, co mam: papirośnica złota wysadzana, dwa sygnety, jeden z brylantem... Bransoletkę weneckiej roboty na zadatek przyniosłam, była tak delikatna, że jak w palce wziął, to zatrzask zepsuł: "Twój mąż rozstrzelany być musi, ale możesz go żywego dostać!" I powiada, że dziś wieczór wyprowadzi go pod te wrony - tu palcem żerowisko pokazał, ja wcale patrzeć nie mogłam - gdzie

razem z dwoma dywersantami ma być zabity. On sam zajmie się moim mężem: tak strzeli, żeby upadł jak zabity, ale będzie żywy. Wyjął pistolet, pokazywał mi z ilu kroków będzie do męża strzelał, żeby pod prawy obojczyk koło zebra kula przeszła. Bo upaść on musi, i to tak, żeby się nie ruszał. Krew musi być - inaczej go Niemiec dobije. Jak ja na sucho, bez łez, płakać zaczęłam, to on mnie pocieszył, że strzela bardzo dobrze, a złoto kazał u tego kolejarza zostawić, jak już męża zabiorą przez noc. "Bez łopatki przychodź, my ich piaskiem nie sypiemy".

Jak nocą przez tory na ten wykrot ~~wy~~szłam, to żeby nie nerwy, co z czło- wieka robią stal, to bym tam chyba na zawsze została: o kości objedzone się potykałam, a ten otwarty grób w gardle stał, ręką namacałam ~~ich~~ buty, po butach go poznałam, w jednym podkółki nie miał, myślałam, że "szaulis" oszukał, że śmierć jego prawdziwa jest, a nie upozorowana. Krew już zimna na nim była. Mokłą chustką go obtarłam, położyłam się przy nim, lewą ręką od suchego boku przez ramię przerzuciłam i sama go przez te tory przeniosłam, butami o podkłady stukającego, kładłam go, sama obok niego. Jak jęknął, to mnie strach ~~skłaniał~~ i radość razem trzęsły! Potem znów - ja na nogi, on na plecy i tak dobre pół kilometra go ciągnęłam. Dopiero koło starej cegielni furka była umówiona...

- Owszem, muszę po kolei, bo ten pistolet to nie wziął się sam z siebie, tylko z tego, co oskarżony przeżył. Ja tu od siebie tylko mówię, a

on, kiedy go na wykrot poprowadzili, nic nie wiedział, że go tak rozstrze-
lać mają, żeby był żywy. Pożegnał on się ze wszystkim, a jak się ocknął,
to nawet mnie nie poznawał. Bo jeszcze w czasie maligny jego za resztę
złota przewiozłam go z synem pod Grodno. W Naumowiczach powinowaty miesz-
kał, w stodole musieliśmy męża trzymać płótnami powiązanego, bo rwał
się w gorączce, krzyczał - ale bez słów, bo od tego ocalenia niemowy się
zrobił: mówić zapomniał przez ten drugi strzał, co go niby dobijając
przy uchu drasnął. Do dziś ma kość tam wgłębioną. Szoki miał straszne,
pianę toczył, szarpał się, uciekać nawet przede mną chciał, bał się
cienia ludzkiego. Przez rok w utajeniu leczył go lekarz z Grodna: powo-
li mu słowo i pamięć wracały, ale to co w oczach miał, to na długie-dłu-
gie lata mu zostało: ~~tak patrzył, jakby był przez osłowieka na wylot~~
~~widzący. Huku bał się strasznie, jak kto rzucił pusty garnek na klepis-~~
~~ko stodoły, gdzie był chowany, zerwawszy się chciał się rzucić nawet~~
~~na pasierba, co miał wtedy piętnaście lat.~~ A mimo to, że się huku bał,
kiedy doszedł do siebie - zaczął mnie o pistolet prosić: jak go nie bę-
dzie miał - żyć nie chce. Musi mieć przy sobie. Jak go przyjdą brać -
ich skończy, a potem siebie! Tłumaczę mu: "nikt cię brać nie przyjdzie,
wojna skończona" - a on swoje: "ale ludzie zostali!" Chciał być zabezpie-
czony. "Przed kim?" - pytam go. "Przed każdym".

- Nie, ten pistolet to już zdobyłam dla niego tutaj. ~~Jeden~~ Od żołnierz
kupiłam za trzy litry spirytusu i rower, ale spirytus zażył, rower oddał

, a pistolet zabrał. Mąż płakał, więc jeszcze raz poszłam do tego żołnierza po pistolet i ^{a/} dłam za niego skórzany płaszcz. Bez tego nie było dla niego życia. ~~Chociaż zmieniliśmy miejsce,~~ już trzy lata minęło od tej jego śmierci, - wciąż bał się ludzi. Piwnicę sobie na mieszkanie urządził, siedział tam cały dzień z tym pistoletem. Głowa spuszczone, broń w rękach, bawił się nim, abracał, przekładał z kieszeni do kieszeni. Z tego pistoletu on nigdy nie wystrzelił. ~~Wziął~~ Czystał go tylko, ~~wciąż w rękach dusił, aż śmierdziały tym metalem.~~ Wiktor wogóle strzelać nie umiał, wogóle przy wojsku nie był przez wodę z boku. Sama mu futerał ze starej torebki białej zeszyłam. Ja go rozumiałam: ~~on nie chciał już w swojej śmierci zależnym być od ludzi. Póki po wyzwoleniu strzelaniny różne były, nie chciał wierzyć, że to już pokój.~~ Wciąż w tej piwnicy żył, wieczorem kazał się wyprowadzać, ~~ka~~ jak tu w mieście psy się wypuszcza na pohasanie. Syn wtedy śladem ojczyma poszedł na kolei pracować. My byli częściowo na jego zarobku, częściowo na zapasach. Kiedy chciałam go do lekarza zabrać, żeby z niego ten strach wypędzić, to mówił, że go chcę się pozbyć, że go do Świecia chcę zamknąć - ale 2 on ma dla siebie ratunek - i tak ten wskazujący palec zginał. W trzy lata po wojnie szukaliśmy z synem tej broni. Amnestie były, bez strachu można się było tego żelastwa pozbyć - ale w ostatniej chwili nam je z rąk wyrwał! Tak za nim oczami wodziłam, tak go pilnowałam, jak k

kiedyśmy się na balu w Cechu Rzemiosł poznali. Wszystko robiłam, żeby o wojnie zapomniał, książki mu na głos czytałam - same tylko wesołe, gazet nie dopuszczałam, bo nie ma gazety bez zbrodni. Powoli zaczął wierzyć, że inni ludzie też są do jego żony podobni. Potem, kiedy po ślubie syna, sam poszedł do pracy w fabryce sklejek na kierownika kotłowni - pochwalił się przede mną, że ma takie miejsce w remizie ^{straży} fabrycznej, w którym nikt jego pistoletu nie znajdzie. Raz na pięć miesięcy brał z domu oliwę, pakuły, wtedy wiedziałam, że go ~~czł~~ści.

- Jak mogłam zgłosić władzom? Po to go dla siebie ratowałam, żeby go teraz więzieniu oddać? A do fabryki dojścia sama nie miałam... Był debry, pieniądze wszystkie oddawał, na papierowy brał odemnie. Czasem mu się tylko ręce zaczynały trząść, szklanki utrzymać nie mógł albo jak go do sklepu po płatki wysłałam, to stał, stał w ogonku, a jak do lady doszedł, to znów się na końcu ustawiał: przypomnieć sobie nie mógł, po co stoi. I może by do niczego nie doszło, jakby do tej fabryki nie przyszedł na dyrektora technicznego pan Szymon G. W tym nie ma nic dziwnego, jako że my wszyscy z jednej dzielnicy, tośmy trafili tu w te strony. Tu jego też matka żyje, wdowa po tym Antonim - telegraficie. Skończył studia i wrócił... Jak Wiktor poznał w tym młodym syna tamtego G. - od tej chwili nie było dla mnie spokoju: "przyszedł tu za mną!" - tak mówił. Jak się ten inżynier wtrącił do pracy kotłowni - to Wiktor wracał, kaloryfery łapał i trząsał nimi: "On chce mnie wykończyć!"

Kiedyś mąż zapomniał dać zestwi^enie opałowe, tamten miał powiedzieć, że na badanie trzeba męża wysłać. I tej nocy akurat powiedział Wiktor: "Ja go zabiję, zanim się on mnie pozbędzie, jak to już jego ojciec próbowa^ł.

- Owszem, tak, widzia^ł w tym G. dalszy ciąg tamtej sprawy. Nocą sam nie spał, i mnie nie dał, tylko wciąż w kółko o tym dniu, o wojnie. Musiał do kogoś mówić. Ja miałam anemię - sił do niespania brak - to on kłuł mnie szydłem szewskim w tylną część, rany z tego miałam, na opatrunki do ośrodka zdrowia musiałam ohedzić, to on, że z lekarzem się zma^wiam, groził pistoletem i mnie i lak^rzowi i temu G.

~~Zacząłam się bać tej broni, co dotąd była na jego uspokojenie. Bać, że pójdzie odemnie na zawsze. To po to mnie było się tak o jego życie ze światem targować, żeby go teraz za mury, kraty oddać? Do milicji zgłosić - też pójdzie siedzieć. Na leczenie nerwowe wysłać - czy mi to daruje? Czy mi go kiedy oddadzą? Czy do pracy przyjmą? Z czego żyć? Tyle lat był on dla mnie najdroższy i dziś nie ma dla mnie wyższej ~~ceny~~ od niego.~~

- Owszem, tak pismo swoje poznaję. To ja pisałam do MO anonimy. Myślałam, to najlepsze wyjście: kiedy okradli u nas ten sklep z aparatami fotograficznymi, to napisałam, że łupy są ukryte w remizie. Myślałam, że jak zrobią rewizję - znajdą ten pistolet, zabiorą, a śledztwo nie wykaże, bo po remizie kręci się z dwudziestu ludzⁱmi.

381

Ale władze tej rewizji nie zrobiły, a dla mnie każda noc w śledztwo była zamieniona: gdzie byłaś, chcesz mnie na leczenie wysłać, bo cię G. przepłacił? Ja was wszystkich zabiję, pełny magazynek mam...

Wziął szmaty z domu, pakuły, oliwę, a oczy znów miał takie, jak kiedyś - w rok czy dwa po zabiciu. A minęło już od tej pory... dwadzieścia

trzy. Ja do syna lecę: "Wiktor niewinnego zabije, dożywocie dostanie!"

"Niech mam^a zda ojczyzna milicji!" "Żeby mnie odszedł za tę zdradę? Kogo

ja mam innego do śmierci? Tyś swoją rodzinę założył..." To Sławek na to:

"To są wasze małżeńskie sprawy, wtrącać się nie chcę, ale może do zabójstwa dojść! Wtedy ten G. straci życie, a mama - męża..."

- Wróciłam do domu, Obijam się z kąta w kąt. Wiktor jakoś nie wraca, a przecie zawsze taki minutowy... Ten jego ciężar poczułam, jak go bezwładnego nocą niosłam! Trzeba go jeszcze dalej ratować!!! Wybiegłam z domu na posterunek, zdałam go...

- Owszem, tak. Ja chciałam prosić Sąd o największą litość i łaskawość dla męża ze względu na to, że to już tyle lat po wojnie, a on ani razu do tej pory nie wystrzelił, tylko czyścił co pół roku i może by tak do śmierci spokojnie życie było, żeby się przez ten przypadek dyrektora G. wojna nie przypomniaka...